

Pierwsze wyróżnienie w konkursie Złote Pióro 2001
na współczesną powieść dla kobiet, zorganizowanym
przez Klub Świat Książki i magazyn „Elle”

Ta książka rozbawi nawet największego ponuraka

Mama odchodzi: wyjeżdża do Afryki z panem Tongo Bongo, pozostawiając 15-letnią Karolinę i 6-letnią Paulinę. Dramat? Tak by się mogło z początku wydawać, zwłaszcza że tatuś, muzyk rockowy o duszy wiecznego chłopca, sam wymaga opieki. W domu zaczynają się pojawiać różne panie: rozrywkowa Viola okazuje się antytalentem kulinarnym, gospodarna Ilonka ma charakterek, a urodziwa Andżelika stroi fochy. Przybywa też porzucona żona pana Tongo Bongo, czarna Kleopatra, a po roku nieobecności wraca mamusia, lecz bynajmniej nie po to, by podjąć opiekę nad córkami. W ciężkich chwilach Karolina wzywa na pomoc babcię Fredzię, damę o ciętym języku, która zażegna kolejne niebezpieczeństwa i uczy wnuczki radości życia. Niebagatelną rolę w tej edukacji odgrywa dobra kuchnia, toteż szczególnym zagrożeniem dla rodzinnego szczęścia może się okazać joginka Elwira, zwariowana na punkcie zdrowej żywności. Książka Manuli Kalickiej to urocza, ciepła opowieść, pełna zabawnych anegdotek i celnych puent. Osadzona we współczesnych polskich realiach, a jednocześnie baśniowa. Przede wszystkim zaś krzepiąca, bo dowodzi, że nawet najtrudniejszy problem można rozwiązać, uciekając się do inteligencji, poczucia humoru i... pysznego jedzonka.

Manula Kalicka skończyła polonistykę i dziennikarstwo. Publikuje opowiadania w pismach kobiecych. Imala się różnych zajęć, zawsze z sukcesem (obecnie obrotem nieruchomościami). Mieszka pod Warszawą w uroczym domu z rodziną, kotami i psami.

www.bertelsmann-media.pl

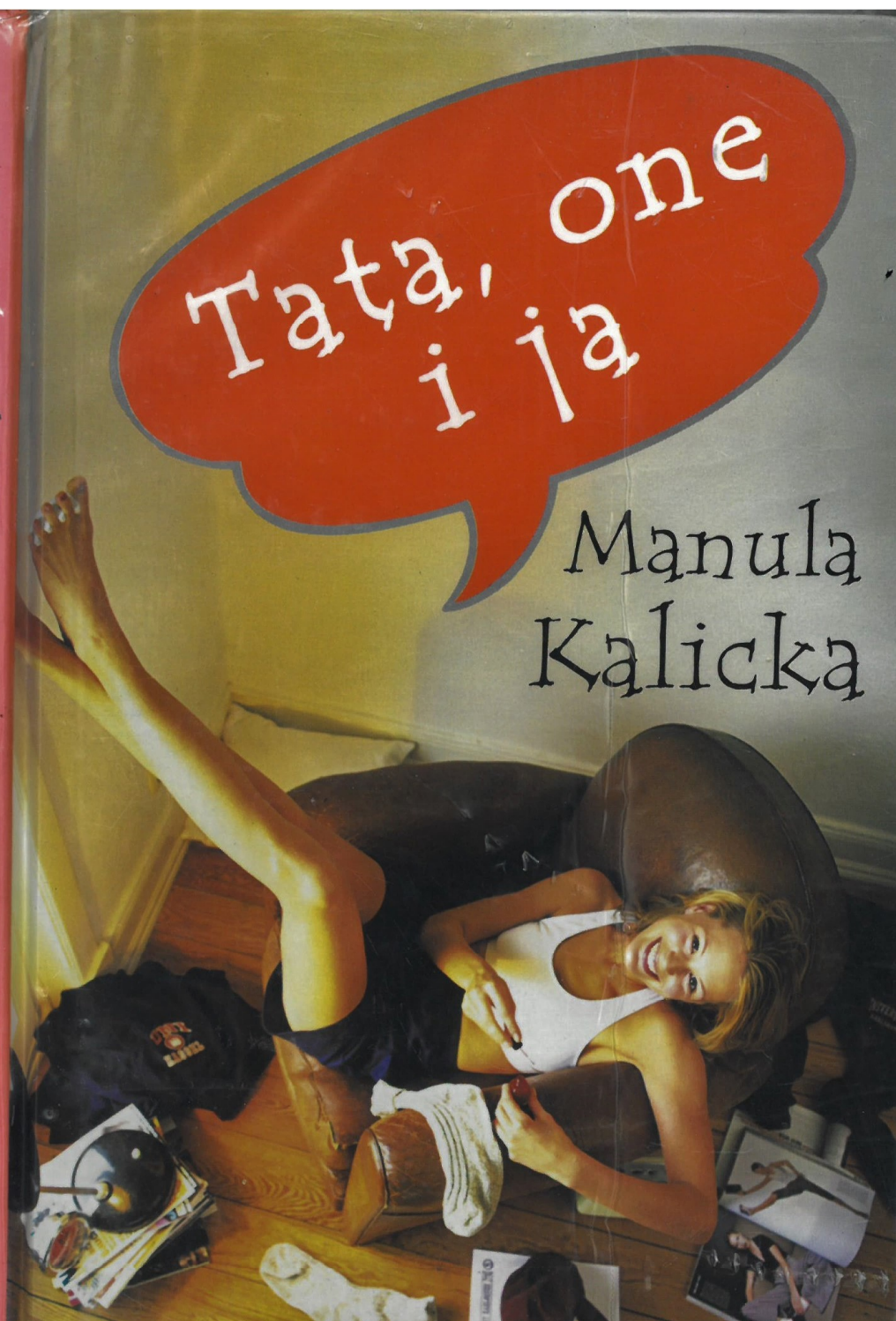
MBP Cieszanów
Tata, one i ja /



M000006465

Nr 3741

Manula Kalicka
Tata, one i ja



czej mówiąc, facetem do wyjęcia. Wykorzystywał to w całej pełni. Imprezował od rana do wieczora, a raczej odwrotnie. Zwał się do domeczku rankiem po przehudanej nocce i zlegał w barłogu. Pod wieczór się reanimował i leciał na jakiś beforek, czyli imprezkę zbiorczą przed zasadniczą balangą w jakimś klubie. Nad ranem całe jego towarzystwo przenosiło się do czyjejś chaty na tak zwany afterek, czyli imprezkę dla dogorywających. Powoli wyhamowywali i rozchodzili się po domach. Mój tatuś *clubman*. Ja rozumiem, że on jest rockandrollowcem, ale ma też, o czym nie lubi mówić, swoje lata.

Po tych zabawach unosił się wokół niego znany mi słodkawy zapach. Tata twierdził, że nabyty przez osmozę, ale kto go wie?

Wydaje mi się zresztą, że takie ciągi trudno wytrzymać bez wspomagaczy.

Po kilku tygodniach takiego życia tatuś wyglądał już nie jak malownicza ruina, ale jak rudera. Wory pod oczami i zachrypnięty głos. Postanowiłyśmy z Pauliną zrobić z tym porządek.

Zaatakowałyśmy go osłabionego, gdy wpelzał do swojej nory po trzydniowej hulance. Zawlekłyśmy przed lustro i powiedziałyśmy:

– Popatrz, co z siebie zrobiłeś. Czy ty musisz żyć tak od bandy do bandy, nigdy pośrodku? Czy to nie za gwałtowne przejście: od skrajnego wegetarianizmu do pijaństw, szaleństw i narkotyków?

– O! Co to, to nie! – oburzył się ojczulek. – Nic nie biorę.

– Przypuszczam, że wątpię – powiedziałam. – Ale założmy, że mówisz prawdę. Samo picie wystarczy, wykolejasz się. Zawaliłeś koncert w Katowicach. Kiedy coś napisałeś?

– Kiedy ostatnio rozmawiałeś ze mną i Karoliną? – dołożyła swoje pięć groszy Paulinka.

Tatko się zmieszał.

– Macie rację, sikorki. Reedukacja. Tak. Od dzisiaj koniec. Biorę się za siebie.

I się wziął. Cierpiał jak potępieniec. Pocił się, był zły, wściekał się, ale nie pił. Siedział w domu i próbował coś robić. Pojechał w trasę i myślałyśmy, że wszystko wróci, ale nie. Wytrzymał.

Po tej kwarantannie napisał kolejny przebój, bardzo zabawną piosenkę:

Zielona fasolka z worka,
Szpinak mi cięęęęę przypomina.

Ciekawe, czy w Kazachstanie Elwira słucha polskiego radia. Jeśli słucha, to musiała się nieźle wkurzyć.

12

Zaczął się rok szkolny i trzeba było iść do szkoły, choćby dziś, dziś. To oczywiście słowa piosenki. Dobrze, że nie słysząc, jak śpiewam, bo fałszuję okrutnie.

Do liceum miałam stosunkowo niedaleko, musiałam jednak dojeżdżać. Życie autobusowe przypadło mi do gustu. Już podczas jazdy zaczynały się rozmowy i żarty. W szkole też nie było źle, klasa okazała się fajna, szybko się zgrałyśmy.

Molasidło ambitnie podjęło naukę w liceum wieczorowym i męczyło się okropnie. To jednak trochę dużo: ciągnąć dwie szkoły i uczyć się angielskiego, kiedy przez poprzednie osiemnaście lat było się *tabula rasa*... Ale Mol to twardy zawodnik, orał od rana do wieczora, wpadał do mnie i bezwstydnie domagał się pomocy. Był zorientowany na sukces i dążył do niego za wszelką cenę.

Oczywiście popierałam to i pomagałam mu, jak mogłam. Ustaliliśmy, że jeśli poradzi sobie dobrze w liceum, to rzuci specjalną po pierwszym semestrze. Będzie miał wtedy więcej czasu na korki, bo teraz nadrabiał braki w soboty i nie-

dziele, kiedy to przez jego dom sunęła prawdziwa procesja korepetytorów.

Opowiadałam to Fredzi, a ta stawiała go za wzór. Rzeczywiście, ambitna z niego bestia. Oboje przerabialiśmy program pierwszej klasy, więc było łatwiej, lecz Molas miał braki jak Rów Mariański, takie głębokie. Jak on sobie poradzi, nie wiem. Ale walczy zaciekle.

Były urodziny taty. Które, nie wiem, bo tata nie udziela w tej sprawie informacji. Podobnie jak Frytka, która twierdzi, że szanująca się kobieta nie kończy czterdziestki przed sześćdziesiątką. Zaliczyć tatę do dinozaurów to go znievažić.

Zaprosiliśmy na tort Kleo i Krzysia, Turka z Fredzią i Molasa. Jednym słowem, doborowe grono.

Grillowaliśmy. To podobno narodowy sport Polaków. Nie odbiegamy od normy, też lubimy. Panowie pilnowali mięska, a my podziwialiśmy małego Omarka leżącego w składanym kojcu. Był śliczny, po prostu do schrupania. Wręcz nie Omarek, tylko Amorek. Paulinka oznajmiła, że też chce mieć takiego samego, koniecznie czarnego. Tatuś spojrzał na nią z prawdziwym niepokojem. My tu w Polsce jesteście jednak straszliwie zaściankowi.

Babcia wyciągnęła list od Ewy, która pisała, że praca w Kazachstanie jest cudowna, bardzo satysfakcjonująca, ale warunki socjalne okropne. Ona i Elwira ciężko pracują, lecz mają wyniki. Ludzie są świetni i warci tego wysiłku. Pytała, czy tata nie mógłby zorganizować jakiegoś koncertu charytatywnego. Pieniądze są bardzo potrzebne na zakup podręczników, książek i pomocy szkolnych.

Tatuś ochoczo się zgodził i powiedział, że coś pokombinuje, a na razie wyśle im część honorariów otrzymanych za *Zieloną fasolkę*.

– Szlachetny gest – stwierdził Artur. – Szczególnie w znanym nam kontekście. Lubię tę piosenkę. Muszę ci powiedzieć, że i tak miałeś szczęście. Córka mojego przyjaciela przyłączyła się do ruchu ahinsy.

– Co to takiego? – spytałam.

– To takie zasady, których przestrzegają mnisi dżinijscy. Na przykład: nie wolno nikomu czynić krzywdy.

– Wydaje się to rozsądne – włączył się do rozmowy Krzys.

– Jak najbardziej, tylko oni się nie myją, aby nie zabić żywych organizmów na ciele, zamiatają przed sobą drogę, aby niczego nie nadepnąć, a nawet oddychają przez tkaninę, by nie połknąć żadnego owada.

– No to Bóg nas uchronił. Gdyby dziewczyny zetknęły się z tym w Indiach, dopiero byłoby wesoło! – wykrzyknęła Frytka.

– À propos mycia, to może nie byłoby to takie złe – dodał Turek. – Przecież jeden z Ludwików strasznie się wściekł, gdy do sypialni doprowadzono mu wymytą starannie wieśniaczkę, którą sobie uprzednio upatrzył. „Dziewkę mi popsowali! – krzyczał. – Dziewkę mi popsowali!”

– Widać był koneserem, ja do nich nie należę – odciął się tata.

– Żadna hańba – stwierdził Artur. – Skoro król Francji gustował w niedomytych.

– Dajcie spokój – przerwała dyskurs Fredzia, zmieniając temat rozmowy. – Gdzieś czytałam taką uwagę, że bakterie, być może, uważają naszą śmierć za koniec stworzonej przez siebie cywilizacji.

– Wydaje mi się, że w tym momencie następuje dopiero rozkwit wszelkich kultur bakterii, w każdym znaczeniu – zaprotestował Artur.

– Przestań być obrzydliwy, przecież jemy.

– Sorry, ale ty zaczęłaś.

– Jasne, zawsze ja.

Jedliśmy żwawo, popijaliśmy browarkiem, oczywiście „dobrze zmrużonym bezalkoholowym”. Było fajnie. Jesień nadchodziła powoli, ale wciąż jeszcze powietrze było przesycone słońcem, zapachem kwiatów i lata. Jak to dobrze, że się wynieśliśmy z miasta! Takie popołudnie nigdy by się nam nie przydarzyło, gdyby nie tamto posunięcie.

Kleo siedziała na uboczu, karmiła Omarka. Dalej była wielka jak góra, ale już się odchudzała. Zapowiadała, że za miesiąc będzie jej połowa.

- Kiedy planujecie nową płytę? – spytała babcia.
- Do świąt chyba się wyrobimy – oznajmił Krzyś. – Tylko Eryk musi podgonić robotę.
- Zasuвам jak dzika mrówka. Nie narzekaj.
- Teraz.
- Dobrze i teraz.
- A kiedy planujecie trasę? – pytała dalej babcia.
- Przed świętami zaczniemy, a potem będziemy występować przez cały karnawał, prawie do Wielkanocy.
- Kleo jedzie z wami?
- Ja jechać, ja nie chcę, ale ja jechać. Musię zarabiać, my chcę kupić dom, w Zalesia *is good*, my chcę taka podobna.
- Czadowy pomysł! – wykrzyknęła Paulina. Rzuciła się na Kleopatę, serdecznie ją ucałowała i zadeklarowała się z pomocą: – Ty mieszkać obok nas. My szukać domu dla was.
- Właśnie chciałem was o to prosić – poparł Kleo Krzyś.
- Oczywiście. Musisz przyjechać w zwykły dzień, pójdziemy do pośredników. A swoją drogą, wszyscy popytamy tutejszych znajomych, czy nie ma czegoś do kupienia w pobliżu. – Tato ustalił plan gry. – Nie da się ukryć, że mamy tutaj w Zalesku taki mały, prywatny kawałek raj, czego i wam życzymy.
- Gdyby jeszcze babcia tu zamieszkała, to byłoby super – rozmarzyła się Paulina.
- Ja też bym chciała mieszkać bliżej was, ale już jestem za... – ugryzła się w język – za... późno na takie operacje.
- Jesteś zawsze młoda, Frytko! – powiedział Turek i pocałował Fredzię w nadgarstek.
- To prawda – zgodziła się uprzejmie.

*

W szkole poznałam wielu fajnych ludzi, lecz zaprzyjaźniłam się z Sandrą. Nadawałyśmy na tych samych falach. Po lekcjach często się gdzieś wypuszczałyśmy albo siedziałyśmy u niej lub u mnie. Razem się uczyłyśmy, razem oglądałyśmy filmy na Canal +. Czasem zaś po prostu plotkowałyśmy. Tato znowu wybył na występy, więc w domu panował spokój. Mogłyśmy robić, co chciałyśmy, a właśnie planowałyśmy jakąś małą imprezkę.

- Może zrobimy ognisko? – zaproponowała Sandra.

- *Good idea* – zgodziłam się.

Zaczęłyśmy kombinować, kogo zaprosić i co podać. Z założenia miało to być ognisko integracyjne dla naszej klasy.

- Kielbaski, browar i pieczone w popiele ziemniaki. To, myślę, będzie wszystko, czego nam potrzeba.

- No co ty? A chipsy? Bez chipsów się nie obejdziesz. Ja nie przepadam, ale rzeczywiście... niektórzy lubią, i jakieś soki albo wodę mineralną dla niepijących.

- Będą tacy? To ile nam potrzeba forsy na te zakupy?

- Czekaj, policzę.

Sandra wzięła się do rachunków, a ja usiłowałam opalić nogi w niezłym jeszcze, wrześniowym słońcu. Nagle stanął przy nas Molas.

- Molasińku, a ty skąd się tutaj wzięłeś?

- Pani Honorata mnie wpuściła. Co robicie?

- Poznaj, Sandro, to mój najlepszy kumpel, Mol.

Molasidło się zaczerwieniło i uściśnęło rękę Sandry.

- Chcemy zrobić ognisko dla naszej klasy. Liczymy, ile to by kosztowało.

- A gdzie chcecie zrobić tę imprezkę?

Popatrzyłyśmy na siebie. To nie było jeszcze uzgodnione.

- Może u mnie – poczułam się w obowiązku zaproponować.

- To chyba najlepsza lokalizacja – zgodziła się Sandra.

- A może u mnie? – wyskoczył znieścacka Molas.

- U ciebie? – Lekko nas zatkało. – To przecież ma być klasowa impreza.

– Ale u mnie jest fajny las i ja jeszcze nigdy nie robiłem żadnej balangi. Tata wybył za granicę i mam wolną chatę – ekscytował się Mol.

– Może rzeczywiście to niegłupie – powiedziałam. – Niektórzy na pewno zlegną, a u Molasa nie będzie z tym żadnego problemu.

– Jasne! Mamy domek gościnny, masę materacy i w ogóle. Jest też basen. Gdyby było ciepło, to można się wykąpać – reklamował swoje włości Molas.

– Masz basen? – zdziwiłam się. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Jakoś się nie zgadzało. Stary zbudował w zeszłym roku.

– To może pojedziemy do ciebie na wizję lokalną – proponowałam.

– Teraz?! Od razu? – spanikował z lekka.

– A czemu nie? Chcesz się przejechać, Sandra?

– Jasne!

Prawdę mówiąc, byłam ciekawa domu Molasa. Nigdy o nim nie opowiadał, a ja nie pytałam. A tu, proszę, basen. Chcąc nie chcąc, lekko spłoszony Mol zabrał nas do swojej bryczki, a potem na salony. No, nie powiem, niezła to była chata. Stała w wielkim ogrodzie, tak z hektar przynajmniej. Cały teren porośnięty był starymi, pięknymi grabami. Wyglądało to dość ponuro, ale miało imponujący majestat i klasę. Do domu oddalonego od ulicy o co najmniej pięćset metrów wiodła aleja grabowa, wzdłuż której leżały bardzo malownicze reszki starych posągów i płyt.

– Skąd masz te rzeźby?

– Tata od lat ściąga te kawałki. Mój dziadek po wojnie odbudowywał Warszawę, przywoził takie malownicze zgruchotane fragmenty rzeźb. Ja znalazłem to – wskazał nam kawałek skrzydła, chyba anielskiego.

– Czadowe! – wykrzyknęła zachwycona Sandra.

Też byłam pod wrażeniem. Nie wiedziałam, że w Zalesiu jest taki malowniczy ogród. Dom również był niesamowity, bardzo wysoki, wąski, robił wrażenie trochę gotyckie. Rodzinę Addamsów można by w nim kręcić bez większych

korekt. Ciemne drzewa, ciemny dom. Przypomniała mi się dziecinna wyliczanka:

– Był czarny, czarny las, a w tym czarnym, czarnym lesie był czarny, czarny dom, a w tym czarnym, czarnym domu były czarne, czarne drzwi, a za tymi czarnymi, czarnymi drzwiami był czarny, czarny pokój, a w tym czarnym, czarnym pokoju stała czarna, czarna trumna, a w tej czarnej, czarnej trumnie leżał czarny, czarny trup. Znacie to?

– Daj spokój, już się boję.

– Nie ma czego. Nie wygłupiaj się, Karolina! – zaprotestował Mol.

– Mówiliśmy sobie z Pauliną tę wyliczankę w nocy, pod kołdrą. To taka zabawa. Nie znacie tego? Babcia nas nauczyła.

– Zimno mi się robi, jak tego słucham. Ale tu jest ponuro – stwierdziła Sandra, rozglądając się dookoła.

– Mnie się podoba. Bardzo. Są tu takie klimaty jak w powieściach Ann Radcliffe – powiedziałam kategorycznie, widząc zatroskaną minę Mola.

– Mnie też – przyłączyła się do pochwał Sandra. – Bardzo tu romantycznie.

Molasidło rozpromieniło się całe. Uśmiechnęło się wszystkimi swoimi trzydziestoma dwoma żarłocznymi zębami.

– Tak uważacie? Naprawdę?

– Jasne – potwierdziłyśmy z pełnym przekonaniem.

W środku było już mniej fajnie. Zniszczone meble swoją świetność przeżyły zapewne w epoce późnego Gomułki lub wczesnego Gierka. Wyraźnie dawał się odczuć brak kobiecej ręki. Było czysto, i tyle.

– To co, zrobicie tu ognisko?

– W salonie byś chciał?

Roześmiał się.

– No, aż tak daleko się nie posunę. Pokażę wam, gdzie jest dobre miejsce.

Zaprowadził nas w róg ogrodu i pokazał schowany za